



JERZY BRAUN.

RYSOWAŁ A. ŻMUDA.

Usiadła na chwilę w bujającym fotelu i paląc papierosa pogrążała się w jasnym obłoku kontemplacji, więcej ziemskich, niż niebiańsko-duchowych i założywszy nóżkę na nóżkę dość swawolnie uśmiechała się do siebie, do ogromnego, srebrzystego zwierciadła i do słońca, ciepłą, nasyconą złotem falą tryskającego do buduaru przez firanki.

— Daisy!

Pokojówka, jak elf na malutkich, bezszelestnych pantofelkach wypłatała się z fałd kotary.

— Jestem.

— Proszę mię ubrać...

Za chwilę miss Diana w bajecznym japońskim szlafrocuku w srebrne kwiaty, krzątała się po salonie, na małym z czarnej laki stoliczku zastawiając śniadanie.

Szlafroczek owinięty w pasie szmaragdową szarfą, związaną w ogromną kokardę był poematem barw, subtelnym powiewem krainy chryzantem i płasających gejsz, a uśmiech Diany nachylonej nad ogromną wazą pełną kwiatów był, jak słońce przeglądające się w miniaturze japońskiego ogródka.

— Daisy, filiżanki!

— Daisy, prędko serwety.

— Daisy, podaj ciastka z kredensu!

Mała, fertyczna dziewczynka fruwała, jak motyl od drzwi do stolika i z powrotem spełniając rozkazy swej pani.

Za chwilę stolik był gotów na usługi, czekając niecierpliwie pożądanego gościa.

Pulchne, pyzate ciasteczka wydymały brzuszki, wino lyskało jak kryształ w szklanych walcach butelek.

Miss Diana Diabella Storm zadowolona usiadła na kozetce, spojrzała na ścienny zegar i czekała chwilę...

Rzecz dziwna. Edgar nie przybywał...

Co u licha! Czyżby mu kto przeszkodził? Czy wyszedłszy z domu zapomniał o obietnicy, jaką rzucił przed chwilą uradowanej Djanie? Nieznośny, wstrętny mężczyzna.

Minął kwadrans, drugi, trzeci...

Miss Diana całkiem straciła humor. Ostro, nerwowo dzwoniła na Daisy każąc jej sprzątnąć elegancką zastawę. Za zbyt powolną — jak zdawało się Djanie — dziewczyną poleciała serwetka bombardując czarnowłosego, łebek...

Nadąsana siadła przy oknie z twarzą opartą na dłoniach. Otworzyła okno i rozsunała szeroko firanki wychylając się i obserwując z góry prędko i gwarny ruch wielkomiejskiej ulicy. Ale znudziło ją to zbyt szybko. Usiadła do pianina, uderzając parę kapryśnych akordów, gdy wtem ogromny, biały kocur angorski, Padyszach — wskakując na klawiaturę i przebiegając po niej przerwał jej improwizację jakimś dzikim, egzotycznym zgrzytem bezmyślnie przydeptanych klawiszów. Porwała kota na ręce i zrywając się poczęła biegać tam i z powrotem po salonie, tuląc go gwałtownie i pieszcząc.

Nagle upuściła zwierzątko i tupiąc nóżkami ze złości rozplakała się na dobre.

— Nie przyszedł, nie przyszedł! — powtarzała prędiutko, łkając żałością i tuliła zalaną łzami twarzyczkę w aksamit wyszywanej poduszki, rzucając się całym ciałem na otomanę i bębniąc po niej nosami pantofelków.

— Głupia jestem! — kontynuowała swój żaloszny monolog, siadając na otomanie z podgiętymi pod siebie nogami i gryząc koronkową chusteczkę.

— Głupia jestem, jak pantofel mojej Daisy! Nie kocha mnie, nie dba o mnie, dlatego nie pisał, nie dawał znać o przyjeździe! Teraz, kiedy już wrócił, żeby zamydlć mi oczy udał gorliwego kochanka. Nie chcę go znać! Pewnie mię zdradza i kiedy ja tu beczę w bezsilnej złości, on pobiegł gdzieś do innej kobiety, by ją wpierw powitać! Oo! nie z tego bratku — siedź sobie tam u niej, a u mnie nie pokazuj się już wcale, ty zdradziecki, niedobry człowieku, któryś uwiódł biedną, niewinną kobietę...

Tu Djana znów zapłakała rzewnie nad dolą uwiedzionych kobiet, nad swoją skrzywdzoną niewinnością i nad grzechami

złych awanturników w rodzaju Edgara, którzy niestety, gorzko odpokutują w piekle swój zdradziecki proceder.

Nagle jednym skokiem znalazła się na podłodze. Podbiegła do telefonu.

— Hallo!

— Kto mówi?

— Djana Storm!

— Tu Davson, sekretarz prywatny pana Smith'a.

— Aa, to pan? Dzień dobry. Gdzie Edgar?

— Dawno już wyjechał z domu i dotąd nie wrócił. Nie wiem, gdzie się znajduje...

— Ach, tak? Przepraszam. Do widzenia.

— Uszanowanie...

Djana zamyśliła się.

Co to znaczy? W domu go niema, u niej go niema, jego sekretarz nie wie o miejscu jego pobytu. Najwidoczniej Edgar ignoruje ją i nie chce się z nią widzieć, bo inaczej dałby znać telefonicznie o spóźnieniu.

— Przedewszystkiem powinnam obrazić się — postanowiła Djana. — Potem ułożę dalszy plan działania.

Machnęła ręką i wyszła na balkon.

Mieszkała nisko, bo na pierwszym piętrze i to umożliwiała jej w chwilach nudy obserwację ruchliwej ulicy. Poczęła majstrować coś koło wazoników z kwiatami ustawionych na balustradzie.

Wtem bęc! jeden z wazoników wyslizgnął się z jej rąk i łupnął o bruk, tłukąc się na drobne kawałki tuż u stóp jakiejs niepomnie grubej jejmości, która przerażona odskończyła w bok, jak antylopa — wpadając na mijającego ją młodego oficera marynarki. Zaskoczony spadającą nań lawiną oficer zatrzymał się i spojrzał w górę szukając sprawcy tej awantury. Poznał Djanę i zsalutował z uśmiechem.

— Henryk — zdziwiła się Djana. — Muszę go przyjąć! — Tak myśląc przywołała go ruchem ręki i uprzejmem skinieniem główki.

Porucznik zadowolony zadzwonił do mieszkania Djanę. Jak wielu ze „złotej młodzieży“ stolicy był wielbicielem „pięknej miss Diabelli“ i nieomieszkał skorzystać natychmiast z jej uprzejmych zaprosin.

Ona przyjęła go radośnie.

Urażona głęboko na Edgara, pragnęła w ten dziecinny i bardzo kobiecy sposób wyrzucić na nim zemstę.

Paląc papierosy rozmawiali żywo.

Porucznik — miły, rozmowny chłopiec lekko i swobodnie prowadził rozmowę, przerzucając się z tematu na temat, plotąc mądrze mnóstwo zręcznie zaokrąglonych frazesów. Djana była godną partnerką. Piłeczka eleganckiego flirtu, podbijana rakieta obrotowych języków, skakała, drgała, tańczyła pomiędzy nimi, przelatując nad siatką normalnej, salonowej konwersacji rzutami zalotnych spojrzeń, znaczących niedomówień i pieszczot na odległość.

— Jest zachwycona — myślał Henryk.

— Edgarze! Kobieta mści się — myślała Djana. A potem dodała głośno:

— Poruczniku, bądź dziś moim cavaliero servante. Nudzi mi się, a sądzę, że w pańskim towarzystwie rozerwę się naj lepiej!...

— Geam! — zakrzyknął, w myśli Henryk radośnie. — Oto wygrałem partję. Pójdzie ze mną...

Po chwili Djana w prześlicznym, artystycznie skrojonym letnim kostjumie wsiadała do auta, zajęta wciąż ożywioną rozmową z Henrykiem Collinsem, porucznikiem marynarki.

Obiad zjedli u „złotego Toma“, we wspaniałej restauracji na rogu ulicy Drapaczów, obsługiwanej przez kelnerów-Chincezyków, we frakach i myckach z ametystową kulka na szczycie głowy. Do Carrazia zajechali na wyborną mokrą, którą pije się tam haustami z lilipucich, z malowanego ręcznie szkła filiżanek. Znajomi podchodzili ku nim witając radośnie.